

9 w 2020 (235)

Trzy gawędy o Duchu Gór

Data publikacji: 13.03.2020 / Autor: Mateusz Chmielewski

Sport, a szerzej rekreacyjna aktywność fizyczna, to stosunkowo świeży pomysł. W czasach, gdy przeciętny człowiek musiał ciężko pracować, a opasty brzuch był poniekąd oznaką społecznego statusu, mało kto zaprzętał sobie głowę myślami o niekoniecznym do niczego fizycznym wysiłku.

W drugiej połowie XIX wieku na ziemiach polskich zawitała dopiero koncepcja aktywnego wypoczynku. Wraz z nią zaczęła rodzić się turystyka górską, jednak wspinaczka i trekking górski przez bardzo długi czas stanowiły rozrywkę niszową, zarezerwowaną jedynie dla elit inteligenckich.

Rozkwit turystyki i szansa na obcowanie z dziką przyrodą majestatycznych gór rozwinęły się w sposób szczególny po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jak zauważył słusznie Arkadiusz Awin *Pracowity Puszczyk* *“Należy też pamiętać, że przed odzyskaniem niepodległości niemożliwe były tak dalekie wyjazdy. Chłopcy znali przyrodę, ale tę podmiejską. Teraz dopiero, w wolnej Polsce zostało im dane poznać jej piękno w całej okazałości.”* Zniknięcie granic umożliwiło Polakom ruszenie w kraj, poznanie osobliwości polskiej przyrody i zróżnicowania naszych krain geograficznych. Byli wśród nich i polscy harcerze.

Mariusz Zaruski pisał *„prowadziłem Polaków w góry i na morze, ażeby stali się twardzi jak granit, a dusze mieli czyste i głębokie jak morze.”* I wyszło mu to całkiem dobrze. Wtedy właśnie góry otworzyły przed nami swoje podwoje. Warto by wspomnieć chociażby, że Jerzy Kukuczka, jeden z najwybitniejszych himalaistów wszechczasów, a przy okazji podharc mistrz, swoje pierwsze wspinaczki przeżywał właśnie w Harcerskim Klubie Wspinaczkowym. Kilkadziesiąt lat później kultura górskich wędrówek na stałe wrosła w nasze wyobrażenie o harcerskim stylu i skojarzenia z formami harcerskiego programu. Dziesiątki tysięcy harcerzy śpiewają o wędrowaniu przez Bieszczady, czy Góry Świętokrzyskie. Bez trudu spotkać można harcerzy na górskich szlakach.

Czy jednak doceniamy wartość jaką do harcerskiego wychowania wnieść może spotkanie Ducha Gór? Czy wystarczająco często poznajemy go prawdziwą wędrówką, a nie tylko mniej lub bardziej infantylną piosenką o harcerzach w Bieszczadach?

Trzy gawędy o Duchu Gór

I

Był koniec marca. Już od kilku tygodni pogoda dopisywała coraz bardziej, ogrzewając twarze ciepłymi promieniami słońca, tak wytęsknionymi po długich zimowych miesiącach. Zbliżał się dzień rozpoczęcia długo planowanej wyprawy, kolejnej już, w cyklu zdobywania drużyną Korony Gór Polskich.

Wędrownicy spotykali się na dworcu kolejowym późnym wieczorem – z samego rana mieli rozpocząć wędrówkę u podnóża Babiej Góry, najwyższego polskiego szczytu leżącego poza Tatrami. Jakie było nasze zdziwienie, gdy na miejscu zobaczyliśmy, że zima raz jeszcze postanowiła o sobie przypomnieć i obsypała śniegiem Zawoję i górujący nad nią masyw Diablaka, zupełnie jakby chciała zawalczyć jeszcze ten jeden raz, nim ustąpi swojej siostrze wiosnie.

Mniej więcej na wysokości Markowych Szczawin, leżącego w połowie drogi schroniska, rozpoczęła się śnieżycą. Już wcześniej nawarstwione pokłady śniegu utrudniały rozeznanie, gdzie wiedzie szlak, a gdzie zaczyna się rosnąca wokół niego kosodrzewina. Szliśmy wolno, z każdym krokiem badając ostrożnie grunt pod stopami, choć i tak czasem zniecka noga zapadała się w śnieg na głębokość większą niż pół metra.

Im byliśmy wyżej, tym bielsze i gęstsze było powietrze wokół nas. Znaliśmy nasze tempo i topografię grzbietu, więc dość dobrze orientowaliśmy się, w którym punkcie trasy jesteśmy.

Gdy doszliśmy do metalowego krzyża, pozostałości po jakiejś tablicy informacyjnej, zatrzymaliśmy się, by zdecydować co dalej. Nasz drużynowy poszedł sam, żeby zorientować się w okolicy. Przeszedł kilka metrów i zniknął z naszych oczu, zlewając się z otaczającą nas zewsząd mgłą śnieżnej chmury. Wrócił po kilku minutach, nie mając pewności, czy idzie w dobrym kierunku, bo śnieg zasypał już jego ślady.

Przypuszczaliśmy, że od szczytu dzieli nas maksymalnie 250 metrów i musieliśmy podjąć decyzję, co robimy. Wiedzieliśmy dobrze, że dla orientacji w terenie i trzymania się grzbietu schodzenie w dół jest dużo trudniejsze, niż wchodzenie pod górę. Wiedzieliśmy, że delikatny grzbiet opada na boki dość stromo, kończąc się niebezpiecznymi ostrymi krawędziami.

Dla grupy 16-letnich chłopaków, żądnych przygody, pełnych ambicji i łaknących sukcesu była to sytuacja trudna.

Nie było łatwo przyznać się przed sobą samym, że góra nas pokonała.

Doświadczyliśmy majestatu Ducha Gór, wobec którego wszystkie nasze plany i aspiracje były niczym. Podjęliśmy trudną decyzję o ruszeniu na dół.

Niespełna godzinę później minęliśmy się z grupą ratowników GOPR. Podziękowali nam, że pokierowaliśmy się rozsądkiem. Tego dnia, na szczycie, utknęła podczas burzy grupa turystów niepotrafiących zorientować się, którądy prowadzi powrotny szlak. Napotkani goprowcy szli na szczyt, aby sprowadzić ich bezpiecznie do schroniska.

Na szczycie Babiej Góry stanęliśmy 14 miesięcy później. Jak się okazało, wspomniany metalowy krzyż, przy którym podjęliśmy decyzję o odwrocie, dzieliło od szczytu około 100 metrów. W dobrej pogodzie widzielibyśmy go doskonale.

Choć tamten rajd nie dodał nic nowego, do naszej kolekcji zdobytych szczytów, to przyniósł nam coś dużo cenniejszego. Na zboczach Diablaka, Duch Gór nauczył nas POKORY.



Tyle śniegu nasypało na Babiej Górze



Styl, wygar i przysługujące nam w opinii środowiska miano drużyny koksów przedkładaliśmy nieraz wysoko ponad wygodę i racjonalizm. Osiągnęliśmy mistrzostwo w uprawianiu sztuki dla sztuki i zupełnie niepotrzebnym uprzykrzaniu sobie życia, w imię nieco źle pojmowanego elitaryzmu i szansy na wykazanie się.

Z lekkim pobłażaniem podchodziliśmy do napotykanych na szlaku dobrze wyposażonych turystów górskich. Nazywaliśmy ich, nieco prześmiewczo, „gore-boy’ami”, wierząc, że korzystanie z GPSa, nowoczesnych ciuchów z membraną, czy innych gadżetów spełnia znamiona oszustwa, albo dopingu.

Ta nieco przesadzona wiara w swój styl i umiejętności nie była całkiem bezpodstawna. O nie! W naszej drużynie nie brakowało osób posługujących się po

mistrzowsku kompasem i mapą, mieliśmy za sobą wymagające wyrobienia rajdy i górskie obozy wędrownicze w Polsce i zagranicą, biwakowaliśmy prawie wyłącznie pod namiotem i niemal zawsze i w każdych warunkach gotowaliśmy na ognisku.

Już od 20 lat w ZHP organizowana jest Wędrownicza Watra, będący świętem wędrownictwa zlot drużyn z całej Polski. Próżno było szukać na nim naszej drużyny. Czuliśmy, że to nie dla nas, że Watra to impreza dla gore-boyów, albo ludzi, co o PRAWDZIwym wędrowaniu wiedzą tyle, ile usłyszeli w piosenkach harcerskich.

Pewnego dnia usłyszeliśmy jednak o Zimowej Watrze Wędrowniczej – złazie godnym wytrawnych wędrowców. ZWW była imprezą półoficjalną. W wyznaczonym dniu, na jednym z górskich szczytów, przecinały się wędrowki wielu drużyn z całej Polski, które razem spotykały się by spędzić wieczór przy ogniu, rozbić namioty i rano rozejść się w swoje strony. Wyruszyliśmy z entuzjazmem, mając lekkie obawy, ale i przekonanie, że damy radę jak zawsze.

Watra odbywała się na szczycie Romanki, niedużego szczytu w Beskidzie Żywieckim. Pogoda była piękna przez cały weekend. Było zimno, około -5, albo -10 stopni, za to niebo bez choćby jednej chmury. W czasie wędrowki obyło się bez przygód, bo te już czekały, by zaatakować z zdwojoną siłą, gdy zapadnie zmrok.

Stało się to, gdy wciąż byliśmy na szlaku. O ile dość dobrze oszacowaliśmy tempo marszu w śniegu, o tylko nie uwzględniliśmy, jak szybko robi się ciemno. Także z lekkim pobłażaniem podeszliśmy do rozbijania biwaku po ciemku, co przecież robiliśmy dziesiątki razy. Latem, jesienią czy wiosną nie musieliśmy martwić się spadkiem temperatury. Ta, na szczycie i po zmroku, wynosiła -15 stopni. Wkładanie pałaków masztu i przewlekanie ich przez materiałową szlufkę w grubych zimowych rękawicach nie należy do łatwych. Przy tej temperaturze robienie tego bez rękawic jest jednak jeszcze gorsze.

Po rozbiciu namiotów zaczęliśmy szykować obiad. Jak to my, na ognisku. Cóż za zaskoczeniem było, że w promieniu mili nie widać było chrustu. Całe zdatne do palenia drewno od miesięcy zasypane było prawie metrową warstwą śniegu, a wszystko co leżało na nim zostało już wybrane na opał do wspólnej watry. Rozpalenie ogniska i ugotowanie wody było niemałym wyczynem. Wpierw odkopanie drewna spod śniegu, później rozpalenie ognia na zmrożonych polanach było sztuką. Mimo wykopania otworu na ognisko, z każdą minutą palenia się ognia w śniegu wytapiała się coraz głębsza dziura, a płomień dusił coraz mocniej niemożność dopływu tlenu i trudność z dokładaniem drewna na dno śnieżnej jamy, od góry zakrytej garnkiem.

Gdy z trudem i po dość długim czasie udało nam się ugotować potrawkę z sosu, kuskusu i kiełbasy, zdobyliśmy kolejny z niechlubnych szczytów. Nałożyliśmy

jedzenie do każdej menażki i zaśpiewaliśmy. Siłą przyzwyczajenia, aby zacząć jeść razem. Gdy nabrałem pierwszą łyżkę jedzenia, była już ledwo ciepła. Kolejne nieco chłodne, końcówka zwyczajnie zimna. Jakie było nasze zdziwienie, gdy kolejne przechodzące osoby, po pierwszym wyrazie uznania dla rozpalenia ogniska, pytały nas, czemu nie użyliśmy kuchenek i nie gotowaliśmy w przedsionku namiotu. Odpowiedź, że nasza drużyna nie korzysta z gazu, ani benzyny, bo to niezgodne ze sztuką, przyjmowali lekkim niedowierzaniem (dziś sądzę, że mieli nas za kretynów).

Styrani i zmarznięci postanowiliśmy zaszyć się w namiotach, rezygnując z udziału we wspólnym wieczornym ognisku. Późnym wieczorem, przed północą, pogrążeni już w półśnie, usłyszeliśmy, że ktoś sypie na nasz namiot śnieg. Głos za ścianą namiotu mówił z pobłażaniem i troską *“O matko! Pierwszaki nie okopały sobie namiotu, weź mi pomóż, bo dzieciaki zamarzną jak w nocy zacznie wiać wiatr”*.

W nocy nawiedził nas Duch Gór i pokazał nam wszystkie nasze błędy, których góra by nam nie wybaczyła, gdyby nie pomoc starszych watowników. Poszliśmy w góry zupełnie nieprzygotowani na to, co nas czeka, i guzik wiedząc o biwakowaniu zimą.

Przetrwaliśmy. Rano zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie z innymi uczestnikami Watry, wpisaliśmy się na listę uczestników i ruszyliśmy w dół.

Na Zimową Watrę przyszliśmy później jeszcze 5 razy. Za każdym razem coraz bardziej gotowi i lepiej przygotowani. Wiele lat później w książce biograficznej Roalda Amundsena przeczytałem, zdanie słynnego podróżnika *„Zwycięstwo czeka tego, kto umie przewidywać – wówczas nazywa się to “szczęściem”. Jedno jest pewne: kto na czas nie poczyni odpowiednich kroków, ten na pewno dozna klęski – wtedy nazywa się to “brakiem szczęścia”*”.

Niczego nowego te zdanie mi nie przyniosło. Duch Gór nauczył nas bowiem, że szczęście sprzyja PRZYGOTOWANYM, tamtej zimy, gdy mieliśmy 17 lat.



Wszyscy przeżyli watrową noc

Przez wiele miesięcy szykowaliśmy się do sprostania największemu z wyznań, które dotychczas podjęliśmy drużyną. Zdecydowaliśmy się swój letni obóz wędrowny przeżyć w Rumunii, dzieląc go na dwie części. W pierwszej z nich pełniliśmy służbę – we współpracy z lokalnym stowarzyszeniem znakowaliśmy szlaki górskie na Obczynach Bukowińskich. W drugiej zamierzaliśmy pochodzić trochę po jednym z wyższych pasm rumuńskich Karpat. Wybór padł na Góry Rodnianińskie. Tak się złożyło, że to w tej części naszej wyprawy mieliśmy przeżyć chwile, dla nas najcięższe...

Góry Rodnianińskie to bardzo malownicze pasmo. Dosyć wysokie (najwyższe szczyty przerastają większość szczytów tatrzańskich), ale swoim charakterem przypominające raczej mieszankę bieszczadzkich połonin i łagodnych szczytów Tatr Zachodnich. Nasza trasa zaplanowana była na 5 dni.

Pogoda nie dopisywała, przez większość naszej wędrówki nie oglądaliśmy słońca – szliśmy w chmurze, deszczu i zimnym wietrze. Dwa z naszych noclegów zaplanowane były na przełęczach głównego pasma. Zamierzaliśmy rozbić namioty na wysokości około 2000 m. n.p.m, czyli ponad granicą pasma kosodrzewiny, gdzie nie rośnie już nic, poza trawą. Wiedzieliśmy, że nie będzie jak palić ognia, więc byliśmy wyposażeni w kuchenkę benzynową i gazową.

Pierwszy dzień wędrówki głównym pasmem sprawił, że wszyscy byliśmy przemarznięci i przemoczeni. Brak możliwości wysuszenia ubrań nad ogniskiem, albo ogrzania się wieczorem dewastacyjnie wpływał na morale całej drużyny. Na tej wysokości temperatura spadała w nocy w okolicę zera, wszystko co mieliśmy było mokre, a doskonale wiedzieliśmy, że kolejny raz ciepła doświadczymy za kolejną dobę.

Następny dzień, prócz pięknego poranka (nim chmury podniosły się na wysokość grani) miał nam do zaoferowania dokładnie to samo, co dzień wcześniejszy. Zero widoków, zero suchych ubrań, zimno, deszcz i wiatr. Tego dnia nawet zdobycie jednego z najwyższych szczytów Rodnian odbiło się bez echa. Każde z nas przeklinało to pasmo, miało dosyć i odliczało jedynie dni do mety, na domiar złego we mgle co rusz gubiliśmy szlak, musieliśmy się wracać i korygować trasę.

Gdy tylko doszliśmy na wysokość na której pojawiała się zdrewniała roślinność. Nasz drużynowy kazał nam się zatrzymać. Podzielił nas na pary i zlecił, aby każda spróbowała rozpalić ognisko. To był hardkor. Wciąż wiało, wciąż mżyło, drewno

występujące dookoła w ilościach śladowych od kilku dni bez przerwy mokło.

Każde z nas wykorzystało wszystkie swoje sztuczki i wyrobione metody – pióropuszczenie drewna, osuszanie mokrego igliwia w bieliźnie, kruszenie świeczki. Gdy tylko pierwszej z par udało się rozpaścić ogień, wszyscy pozostali mieli przejść do ich ogniska ze swoim chrustem i pomóc zrobić wspólne ognisko. Na ogniu zagotowaliśmy wodę i zrobiliśmy z niej rosół z proszku. Wypiliśmy po kilka łyków i jeszcze około kwadrans ogrzewaliśmy się przy ogniu. Kilka łyków rosółu i zwyczajne fizyczne ciepło przywróciło nam siłę.

Tego dnia, już w dolinie, przy normalnym wieczornym ognisku rozmawialiśmy o harcie ducha. Rozumieliśmy wszyscy, jak skrajnie ważne jest, aby nie dać się złamać. Podjęliśmy decyzję, że kolejnego dnia od rana to ja będę prowadził drużynę na trasie.

Rozpoczynaliśmy kolejny dwudniowy maraton marszu granią. Rano kiedy zwijaliśmy obozowisko i szykowaliśmy się do wymarszu, usłyszałem jedno z najważniejszych słów, jakie padły na moim harcerskim szlaku: *„Dobrze, że Ty dziś prowadzisz, bo ufam Ci i wiem, że będzie dobrze”*. To było najtrudniejsze bycie przewodnikiem, jakie w górach mnie spotkało. Nigdy wcześniej, ani później, nie czułem tak bardzo, że od moich poczynań zależy nie tylko dotarcie do celu, ale duch drużyny.

Kończąc ten dzień zdecydowaliśmy, że nie powtórzymy naszego błędu. Parę osób zostało na przełęczy na wysokości 2000 m., a reszta zostawiła rzeczy i poszła w dół. Poszliśmy na lekko, tylko z pasami od munduru, w dół stoku aż do piętra, gdzie nabierać można było drewno. Każdy z nas przyniósł na górę pas chrustu. Droga po niego zajęła 1,5 godziny, ale było warto. Tego dnia, gdy mgła opadła w doliny, na grani siedzieliśmy przy ognisku, suszyliśmy ubrania i śpiewaliśmy. Tego wieczoru troje z nas ukończyło swoje próby i otrzymało naramienniki wędrownicze.

Ostatniego już dnia naszej wędrówki, Duch Gór nagroził nas za HART DUCHA i za to, że przez 4 wcześniejsze dni nie złamał nas ani deszczem, ani wiatrem. Gdy stanęliśmy na szczycie Varful Petrosul najwyższego szczytu Rodnian, rozciągnęła się przed nami piękna panorama całego pasma, które od początku wyprawy skrywała przed nami mgła chmur.

Schodziliśmy do Borsy wiedząc, że tak długo jak wędrujemy razem, nie damy się złamać.



Ostatni poranek na grani Rodnian

Wszystkie te historie miały miejsce, gdzieś na kartach kroniki drużyny wędrowniczej, którą założyliśmy już ponad dekadę temu. Od odwrotu na Diablaku mija właśnie w tym miesiącu 10 lat. Kolejne opisane wydarzenia rozegrały się w roku 2011 i 2012.

Drużyna wciąż istnieje i wciąż zdobywa kolejne szczyty, choć już w zupełnie innym składzie. Przez lata wędrowała po górach w Polsce, Rumunii, Gruzji, Czarnogórze, Norwegii, Nepalu, na Islandii i Ukrainie. Ja sam uczestniczyłem z nią w 20 górskich wędrówkach w tym 5 obozach wędrownych.

Zdobywanie górskich szczytów jest jak wędrówka do sukcesu. Nie trzeba za nimi gonić, bo nigdzie nie uciekają. Trzeba obrać kierunek i ruszyć na szlak i iść – krok po kroku, pnać się do celu. To, czy do szczytu dojdziemy, zależy przede wszystkim od naszych sił i determinacji, od pomocnych rąk przyjaciół, z którymi podążamy szlakiem. Czasem jak na Babiej Górze poznamy, że to jeszcze nie nasz czas, że szczyt będzie musiał zaczekać, ale zawsze możemy wrócić, bo on nigdzie się nie wybiera. Zawsze też nasze szanse wzrosną, jeśli szczęściu pomożemy i przygotujemy się dobrze. Krok po kroku, pnać się do celu. Najpiękniejsze jednak jest to, że gdy staniemy na szczycie kolejne rozpostrą się przed nami, a Duch Gór wezwie nas, by wyruszyć na nowy szlak.

Zdjęcia ze zbiorów 330 WDW

[Mateusz Chmielewski](#)

Harc mistrz, mąż harcmistrzyni. Był szczepowym, przewodniczącym rady chorągwi i członkiem Rady Naczelnej ZHP, ale przede wszystkim przez prawie 12 lat prowadził

drużynę – najpierw harcerską, później wędrowniczą. Pragnie Żoliborza od morza do morza.